

Warszawa, styczeń 1807

Pierwszego stycznia roku 1807 wjechały do Warszawy dwie osobistości.

Około godziny ósmej wieczorem pojawił się Napoleon Bonaparte. Cesarz Francuzów i król włoski w asyście oddziału mameluków* stanął na Zamku Królewskim, gdzie powitał go przybyły nieco wcześniej jego brat Hieronim i księżę Bergu, Joachim Murat. Stolica, która oczekiwała wielkiego wodza już od poprzedniego dnia, przyjęła go odświętną iluminacją.

Pół godziny później na praskim brzegu zatrzymał się Marcin Zięba. Prezentował się jednak znacznie mniej bohatersko niż niedawny zwycięzca spod Pułtusza. Wychudzony piętnastoletni wyrostek w zniszczonej odzieży dosiadał zabiedzonego mierzynka**, którego sierść pełna była grudek błota. Zmęczony długą i trudną podróżą jeździec spoglądał na Warszawę z prawego brzegu Wisły.

Miasto bardzo się zmieniło od chwili, gdy opuścił je przed sześcioma tygodniami. W miejscu, gdzie niegdyś wznosił się most łyżwowy, sterczały z wody wypalone czarne słupy. Nad nimi przerzucono już zastępczą przeprawę wspartą na

* Mameluk – żołnierz przybocznej gwardii władców egipskich, zwykle wywodzący się z niewolników pochodzenia tureckiego, kaukaskiego lub bałkańskiego. Swoją gwardię mameluków miał także Napoleon Bonaparte.

** Mierzynek – niewielki koń, zazwyczaj pociągowy.

chybotliwych łódkach. Żołnierze w obcych mundurach uwijali się przy odbudowie, układając pachnące żywicą bale.

Marcin patrzył na przeciwny brzeg rzeki. Nic nie uszło jego bystrym oczom. Spostrzegł rozświetlone okna Zamku Królewskiego, który odkąd pamiętał, stał opuszczony i zaniedbany. Domyślał się, na czyją cześć zapalono te światła. W podróży widział i słyszał wiele. Droga z Wilna wiodła przez okolice spustoszone wojną. Mijały Marcina długie kolumny rannych Moskali powracających z pól bitewnych. Musiał kłuczyć, by omijać wojskowe patrole. Natykał się też na groźne bandy maruderów, trudniące się zbójceckim procederem. Kilka razy przyszło mu nawet zrobić użytek z króciicy*, którą na odjeździe wręczył mu mistrz Kuparenko.

Przeprawa przez rzekę zajęła sporo czasu, bo do miasta ciągnęły szeregi ambulansów z rannymi, którym dawano pierwszeństwo przejazdu. Kiedy wreszcie Marcin wylądował u podnóża warszawskiej skarpy, niecierpliwie popędził mierzynka, a ten, pochrapując ze zmęczenia, począł ciężko człapać pod górę.

Znajome ulice, bajkowo rozświetlone i przybrane bogatymi dekoracjami, wyglądały jak znane od dziecka ubogie krewne, które pierwszy raz pokazały się w balowych sukniach. Marcinowi było miło, że rodzinne miasto wita go powodzią światła, choć zdawał sobie sprawę, że nie zabłysły dla niego. A gdyby nawet się łudził, wyprowadziłyby go z błędu powtarzająca się we wszystkich dekoracjach złota litera N – inicjał bohatera.

* Króciica – ręczna broń palna o krótkiej lufie.

Wyjechał z Mariensztatu obok kościoła panien bernardynek. Spod kolumny Zygmunta dobiegały dźwięki muzyki. Marcin zobaczył orkiestrę zasiadającą półkołem w drewnianym amfiteatrze. Rozpoznał wśród muzyków pana Wejnerta, fleciście z Teatru Narodowego, i uklonił mu się.

Amfiteatr dla orkiestry znajdował się u stóp niezwyklej budowli. Była to brama z łukowatym otworem, o filarach zdobionych malowidłami. Choć trochę już wypłowiałe i splukane przez deszcze, obrazy te przykuły uwagę Marcina. Sądził, że to sceny z mitologii, ale zbyt mało się na niej znał, by rozpoznać bohaterów. Po prawej stronie jakaś wysoka kobieta w powłóczystej szacie powoziła zaprzęgiem, w którym zasiadała uzbrojony po zęby, półnagi mężczyzna. Z drugiej strony inna niewiasta jechała powozem ciągniętym przez woły, a w ramionach trzymała napełniony owocami i kwiatami róg. Budowlę wieńczył orzeł, zapewne jeszcze tydzień temu lśniący od złota. Dziś farba w wielu miejscach odpadła, ukazując poczerniałe drewno, co zresztą wcale nie odbierało dumnemu ptaszysku godności. Pod orłem dało się odczytać nieco zatarty napis: *Venit et lux facta est*. Marcin, który w szkole benonitów liznął podstaw łaciny, podejrzewał, że znaczy to: *Przyszedeł i stało się światło*.

– Ho, ho! – zwrócił się do swego wynędzniałego konika.
– Popatrz, popatrz, całkiem nowe porządki.

Wszędzie dookoła rzeczywiście było widać nowe porządki. Zniknęli pruscy żołnierze w trójkątnych kapeluszach z cienkimi harcapkami* zwisającymi na plecach. Na ulicach

* Harcap – warkocz fryzury lub peruki męskiej, w II połowie XVIII i na początku XIX wieku obowiązkowe uczesanie niektórych armii europejskich, mające chronić szyję przed ciosem.

wprawdzie rościło się od wojska, ale nosiło ono inne, granatowe mundury i wysokie czapki z futra. W oczy rzucali się liczni ranni z rękami na temblakach lub z obandażowanymi głowami. Marcin przyglądał się Francuzom z ciekawością. Wydawali się zadowoleni w mieście, mówili głośno i poruszali się ze swobodą zdobywców.

Spostrzegłszy, że mierzynek słania się już ze zmęczenia, chłopak powoli ruszył Krakowskim Przedmieściem w stronę Nowego Świata. Koło kamienicy Roeslera zwolnił jeszcze bardziej. Marzyło mu się, że pod domem spotka siostrę, która służyła tu u państwa Hoffmannów. Ale Petronela miała widocznie lepsze zajęcia niż wałęsanie się po ulicy.

Jechał stępa nie tylko ze względu na zmęczenie nieszczęsnej chabety. Im bliżej był celu podróży, tym bardziej obawiał się, jak zostanie przyjęty.

Misja, z którą Marcin przyjechał do Warszawy, była bowiem delikatnej natury. W listopadzie jego chlebowdawca, mistrz Jordaki Kuparenko, wyruszył w podróż do Wilna, by na początku grudnia dać tam pokaz balonowy. Lot udał się dużo lepiej niż pół roku wcześniej w Warszawie. Publiczność, licznie zgromadzona pomimo słotnej i wietrznej pogody, mogła podziwiać balon, który wzniósłszy się na znaczną wysokość, przebył ponad pół mili, miotany gwałtownymi podmuchami wichury. Dopiero podczas lądowania zawiodły liny, a mistrz Kuparenko, wyskakując z gondoli, odniósł kontuzję nogi. W pierwszej chwili zdawało się, że to tylko bolesne zwichnięcie, lecz wezwany medyk stwierdził pęknięcie, i to w miejscu, w którym kość już dawniej była złamana. Zamiast wracać do Warszawy zaraz po pokazie, jak planował, Jordaki został unieruchomiony w łóżku na kilka tygodni.

Czas był niespokojny. Do Wilna docierały echa walk toczonych pod Czarnowem, Pułtuskim i Gołyminem. Okoliczna ludność ponosiła ciężar zaopatrzenia wojska w żywność, więc w mieście bywało głodno. Poczta kursowała rzadko i nieregularnie. Jordaki, który wyjechał z Warszawy niemal bez grosza i utrzymywał się w drodze z tego, co przyniósł mu obwoźny teatrzyk cieni, cały dochód z pokazu balonu wkrótce wydał na gospodę i leczenie. Kiedy pieniądze się skończyły, groziło mu, że znajdzie się na bruku. Lecz widać Opatrzność miała go w szczególnej opiece. Gdy nie wiedział, gdzie ma się podziąć, wzięła go pod swój dach pewna wdowa po aptekarzu, pani Linkiewiczowa, i otoczyła troskliwą opieką. Kuparenko z wdzięcznością przyjął gościnę, której udzieliła mu zacna kobieta, lecz nie chcąc być jej ciężarem w trudnych czasach, wysłał Marcina do Warszawy z poufnym zleceniem zdobycia funduszy na leczenie i powrotną podróż.

Można je było zdobyć, prosząc o nie panią Henriettę Padovani, zarządczynię warszawskiego amfiteatru Heca, znaną również jako niespalna kobieta. Kłopot w tym, że *madame* Padovani już na podróż mistrza w tamtą stronę pieniędzy dać nie chciała. Czowała się dotknięta, bo Kuparenko obiecał jej ślub, który miał odbyć się w Boże Narodzenie. Zamiast tego wyruszył z balonem do Wilna. Srodze zawiedziona pani Henrietta postanowiła odplacić niedoszłemu oblubieńcowi pięknym za nadobne, odcinając dopływ gotówki.

Marcin obawiał się, że nawet gdyby odmalował obecną niedolę i cierpienie mistrza w najczarniejszych barwach, *madame* Padovani pozostałaby niezłomna. Trzęsąc się na

grzbiecie człapiącego wolno mierzynka, obmyślał wprawdzie sposoby, jak wzruszyć niespalną kobietę, lecz jednocześnie już zastanawiał się, czy zna kogoś, od kogo mógłby potrzebną sumę pożyczyć.

– Ludzie! Nie pchajcie się! Połamiecie ręce i nogi! – ktoś krzyczał piskliwie.

– Przyjmują? Otworzyli? – chciał wiedzieć jakiś chuderlawy mężczyzna, wyciągając szyję, by dostrzec, co dzieje się za kratą.

– Ale gdzie tam! – odrzekł mu ktoś dobrze poinformowany. – Nawet jeśli wpuszczą na dziedziniec, to żadnej skargi nie przyjmą. Będziesz pan tam sterczał tak samo, jak i tutaj.

– Przykro mi, że musimy spotykać się w takich okolicznościach – powiedział Antoni Szeliga Magier, uważając, by przypadkiem nie wykluć parasolem oka panu Wojciechowi Bogusławskiemu.

– Też nad tym ubolewam, panie Antoni! – wystękał Bogusławski, usiłując nie dać się zmiażdżyć napierającemu nań tęgiemu mężczyźnie w fartuchu cuchnącym surowym mięsem.

– Wolałbym pana widzieć w teatrze, lecz i teatr już nie ten sam... – smutno westchnął Magier. – Czuję się jak w domu za jezdnym, słysząc w trakcie spektaklu krzyki i głośnie gadanie Francuzów.

– Ach, drogi panie, teatr to dziś tylko utrapienie – oświadczył z rezygnacją dyrektor sceny narodowej. – Nie mam z czego płacić aktorom, sam też nie biorę żadnej gaży. Nie wiem, czy słyszał pan ostatni wierszyk Żółkowskiego?

Bajali dawniejsi Grecy,
Że Jowisz Atlasa prosił,
By wziął świat na swoje plecy
I na chwilę go unosił.
Atlas Jowisza wyręczył,
Wziął świat i ani się zmęczył.
Lecz ten hajduk*, w zakład idę,
Musiałby krwią nieraz rzygnąć,
Gdyby mu kazano dźwignąć
Teraźniejszą naszą bidę.
Nie pomogą i Atlasy –
Tak są teraz ciężkie czasy!

– wyrecytował Bogusławski.

– Tak są teraz ciężkie czasy! – powtórzył Magier. – O, dobrze to opisał pan Alojzy! I kto by pomyślał jeszcze niedawno, gdy witaliśmy Francuzów jak zbawców, że wkrótce będziemy mieli ich dość?

Przed kratą, broniącą wstępu na dziedziniec Pałacu Saskiego, wszczął się rejwach.

– Warty będą wpuszczać! – poszła pogłoska.

Rzeczywiście, po chwili brama stanęła otworem, a tłum począł wlewać się na podwórzec.

– Czy komisja kwaterunku przyjmuje? – usiłował dowiedzieć się pan Bogusławski. – Widzi pan, panie Antoni, czy okna odsłonięte?

* Hajduk – żołnierz piechoty zorganizowanej na wzór węgierski lub służący na dworze magnackim, ubrany w strój węgierski.

Pan Magier wyciągnął szyję jak żuraw. Jego wzrost pozwalał mu patrzeć ponad głowami ludzi. Lecz niczego pewnego nie potrafił powiedzieć.

– Podejdźmy trochę bliżej – zaproponował.

Zaczęli przepychać się przez zbiegowisko. Na szczęście tęgi rzeźnik wyprzedził ich i kuksańcami torował sobie drogę. Trzymając się blisko niego, dotarli pod drzwi komisji kwaterunku.

Otaczały ich smutne, zatroskane twarze. Niejedna kobieta zalana była łzami lub zapuchnięta od płaczu. Ze wszystkich stron dobiegało biadolenie i narzekanie.

– Panie, to nie do wiary, co te Francuzy wyprawiają! – skarżył się rzeźnik tubalnym głosem. – Nie podałem jednemu w czas serdelków, wściekł się i potłukł naczynia! Innemu nie smakowała kiszka kaszana. I co pan na to powie? Rzucił ją za okno razem z talerzem, a teraz ja muszę płacić za szkody na ciele obywatela, który miał to nieszczęście, że akurat tamtędy przechodził!

– A pan, panie Wojciechu, w jakiej sprawie do komisji? – zapytał Magier półgłosem.

– Zapewne w takiej samej jak pan – uśmiechnął się smutno dyrektor teatru. – W moim dworku na Żytniej zakwaterowano pułk grenadierów. Żyw ich teraz, człowieku, i daj posłanie, kiedy wszystkie łóżka, które w domu były, zarekwirowała już wcześniej komisja lazaretowa*! Musiałem pociąć stare dekoracje teatralne na pościel dla wojska, a oni jeszcze narzekają. Wyobraża pan sobie? Śpią pod malowidłami Plerscha i Smuglewicza, a jęczą, że płótno szorstkie!

* Komisja lazaretowa – komisja zajmująca się organizacją i utrzymaniem szpitali wojskowych.

– Cieszyłem się w zeszłym tygodniu – wyznał pan Antoni – bo mój oddziałek strzelców ewakuował się z Piwnej, chcąc ruszyć w dalszą drogę. Ledwo jednak odetchnąłem po wyjściu wojska, zaraz wieczorem było z powrotem.

– Przyszli inni?

– Skądże, ci sami. Z powodu trudności z przeprawą przez Wisłę wrócili na starą kwaterę. Dajże im znowu żywność, posłanie, wszelką wygodę, a życie drogie, żołnierz w domu doskwiera, nieledwie głód dokucza! Ech, zresztą nie o mnie tu chodzi! – pan Antoni machnął ręką i zawadził o ramię rzeźnika, który obejrzał się z oburzeniem. – Proszę waszmości o wybaczenie! – przeprosił szybko Magier. – Nie o mnie tu idzie, panie Wojciechu, lecz o matkę staruszkę – ciągnął. – Leży w łóżku obłożnie chora. Pielęgnowujemy ją na zmianę z siostrą. Lekarze mówią, że nic już nie da się zrobić. Zalecają spokój, wypoczynek i dobry sen. Ale jak ma dobrodziejka wypocząć, kiedy w kamienicy zgiełk niby w karczmie, łomocą buciorami po schodach, trzaskają drzwiami, przekrzykują się! Ledwo uprosiłem pułkownika, żeby w matczynej sypialni pozwolił łóżko zostawić. Przychodzę tu codziennie z podaniem o wykwaterowanie wojska, lecz jak dotąd nikt nawet mojej petycji nie chciał wziąć do ręki.

– Bieda z tym, bieda! – potwierdził Bogusławski. – Podobno niejeden właściciel, przygnieciony ciężarem utrzymania Francuzów, złożył klucze od swego domu w ratuszu. A o tym, co się przydarzyło wielebnemu Woroniczowi, już pan zapewne słyszał?

– Nie, co takiego?

– Powróciwszy onegdaj do siebie, ksiądz Woronicz zastał drzwi otwarte i dom pełen nieoczekiwanych gości. Żołnierze

rozłożyli się po pokojach, ci z bronią, ci z fajkami, pełno hałasu, bagażów i dymu. Ksiądz wszedł do swej sypialni, a tam na łóżku wyleguje się oficer w przemoczonej odzieży. Zna pan Woronicza – człek to zacny i pocziwy. Podszedł do oficera, a nie chcąc ubliżyć prawom gościnności, jął przeproszać, że go w domu nie było. Tymczasem oficer prostak przerwał mu i wyciągnął doń nogę w zabłoconym bucie, krzyżąc: „Ja tu jestem gospodarzem, a ty moim sługą, więc nie gadaj, tylko ściągnij mi buty!”.

– Mój Boże! – przeraził się pan Antoni. – Co ksiądz Woronicz na to?

– Nie chciał się narażać na żołdecką gwałtowność. Przyklęknął i zdjął mu buty, po czym wyniósł się na noc do jednego z kanoników.

Jakiś mężczyzna we francuskim mundurze pojawił się na schodkach przed drzwiami i zawołał po polsku:

– Kto ma skargi, prośby, pretensje, zażalenia, proszę tutaj!

Tłum z krzykiem i płaczem ruszył w tamtą stronę. Pan Magier już chciał pójść w jego ślady, gdy wtem zmiarkował, że pod oknami komisji kwaterunkowej, znajdującymi się na wysokim parterze oficyny, zrobiło się całkiem pusto.

– Panie Wojciechu, za mną! – zakomenderował. – Tam się i tak nie dopchniemy, a jeśli nawet, to znam ich obyczaje. Przyjmą ze dwa, trzy świstki, pozostałych zaś odprawią i każą przyjść jutro. Trzeba się wziąć na sposób!

Wyciągnął rękę i zaczął stukać parasolem w szybę. Początkowo nikt nie reagował, lecz po chwili z góry spojrzano na niego zaczerwieniona, wąsata twarz.

– A czego tu? – zapytał opryskliwie oficer.

Magier wydobyl z kieszeni zapieczetowane podanie. Potem wyjal pomiete pismo z zaciśniętych dłoni Bogusławskiego. Oba papiery nadzial na czubek parasola, po czym uniosł go w górę.

– Petycja w sprawie kwaterunku – wyjaśnił.

– Nie przyjmuję! Trzeba tam, do sierżanta! – Oficer zrobil taki gest, jakby chcial zatrzasnac okno, lecz pan Antoni zwinym ruchem wsunal parasol między ramę a framugę.

– Do rąk własnych szanownego pana porucznika! – rzekł z uśmiechem.

Widząc, że okno zostało zablokowane, a do środka napływa zimne powietrze z zewnątrz, oficer skapitulował. Zdjął obie petycje z parasola.

– W sprawie decyzji przyjść jutro – mruknął.

– Serdecznie dziękuję waszmości! – pan Magier z zadowoleniem wsunal parasol pod pachę. – Cóż, panie Wojciechu! – zwrócił się do aktora. – Może się nie uda, ale przynajmniej spróbowaliśmy!

To nie była łatwa zima dla Petroneli Ziębianki. Ojciec umarł w końcu grudnia, a ona została z domem i warsztatem na głowie. Cech szewski proponował jej zapomogę, ale dziewczyna nie chciała przyjąć żadnych pieniędzy. Zależało jej tylko na tym, by starsi zaakceptowali ją jako następczynię Antoniego Michała Zięby. Zwykle po śmierci rzemieślnika jego warsztat przejmowała majstrowa, lecz jejmość Ziębina nie miała ani umiejętności, ani ochoty, by stać się szewczychą. Co innego Petronela. Zważywszy na okoliczności, rada starszych przychyliła się do jej prośby i pozwoliła złożyć pracę mistrzowską w późniejszym czasie.

Matka całymi dniami płakała, Maciuś znów zapadł na zdrowiu, Marcin wyjechał. Z pieniędzmi było bardzo kruch. Zamówień brakowało. W dodatku magistrat ogłosił, że wszystkie zapasy skór, jakie znajdują się w prywatnych rękach w Warszawie, mają być przekazane na potrzeby wojska. Za ich ukrycie groziła surowa kara. Petronela nie miałaby z czego zapłacić grzywny, oddała więc zasoby, które ojciec zachowywał na czarną godzinę. Czyniła to z ciężkim sercem, bo były to najlepszej jakości skóry angielskie, jakich już teraz, ze względu na obowiązującą blokadę i zakaz handlu z Anglią, próżno by szukać na rynku.

W tych trudnych chwilach największym oparciem dla Petroneli stał się Jacquot. Pomógł zorganizować pogrzeb ojca, a wkrótce potem przyniósł od pana Magiera propozycję pożyczki. Petronela odrzuciła ją, podobnie jak cechową. Jednak ceniła obecność przy swoim boku tego dobrego, rozważnego i spokojnego chłopca. Wiedziała, że zawsze może na niego liczyć. Dzięki niemu jakoś wiązała koniec z końcem, bo przynosił jej do naprawy buty domowników pana Magiera i całej rodziny Michaultów. Również pani Hoffmannowa nagle przypomniała sobie, że ma we wszystkich pantoflach zdarte obcasy i wciąż przysyłała Michasię z nowymi zamówieniami. Inni dawni klienci starego Zięby na razie nieufnie traktowali czternastolatkę w szewskim fartuchu.

Petronela zerknęła na swój cień na ścianie, przygarbiony tak samo, jak zawsze garbił się cień ojca. Odruchowo wyprostowała plecy i zdmuchnęła znad oczu chmurkę rudych loków.

Ktoś zapukał do drzwi. Serce dziewczyny zabiło żywiej. Może to nowy klient? Maciuś, pociągając zakatarzonym nosem, powlókł się otwierać.